

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 1.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 19 września 1859.
1 października
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi. — Anioł Zmartwychwstania O. Sosnowskiego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Żywoć i przygody Imci pana Józefa Gabryela z Gozda hrabi Gozdkiego, wojewodzica podlaskiego. — Odnoga drogi żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej pod nazwą Zabkowiecko-Kotowicka (z drzeworytem). — Dziewczę i gołąb (z drzeworytem). — Konstanty Świdziński (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Przegląd literatury bieżącej. — Korrespondencya redakcyjna. — Były klasztor cystersek w Trzebnicy (z drzeworytem). — Doniesienia. — Rebus i szachy.

OD REDAKCYI.

Serdeczném słowem pozdrowienia witamy czytelników naszych, z którymi przebież mamy razem wytkniętą pismu temu drogę. We wspólnej tej wędrówce my dobrowolnie przyjmujemy na siebie wszelkie kłopoty i trudy, nastęrcząc skwapliwie towarzysom-czytelnikom samej jej przyjemności.

Jakim jest cel do którego zmierzamy, powiedzieliśmy już obszernie w prospencie; dziś dodajemy tylko, że schylając pokornie czoło przed powagą ścisłej nauki, starać się jednak będziemy przede-wszystkiém o zajęcie, o zainteresowanie czytelników, o niesienie im pokarmu zdrowego, zaprawnego to solą attycką humoru, to szczyptą niewinnego sarkazmu, niekiedy słodyczą żywiej rozbudzonej ciekawości, ale nigdy, przenigdy goryczą.

Niech przecież tych wyrazów nikt sobie w taki sposób nie tłumaczy, jakobyśmy zaniedbywać chcieli stronę naukową pisma. Owszem, i ta najstaranniej będzie obrabiana; tylko że nauka nie przybierze tu form zbyt surowej specjalności, nie przemówi tonem mentora, lecz radzibyśmy ażeby spływała na czytelników prawie bez ich wiedzy, w taki sposób, w jaki ludzie pragnący się oświecić, nabywają tej oświaty w rozmowie z innymi ludźmi ukształconymi.

Dalecy przytém od wszelkiej koteryjności, iść będziemy prosto i spokojnie drogą obraną. Nie podamy się za narzędzie żadnemu

stronictwu, ani też sami go nie złożymy, biorąc za godło słowa poety:

„Prawda niech tylko z ust naszych wychodzi,
I niech nasz język nikomu nie szkodzi.“ (Karpiński.)

ści, ufni w tę prawdę nieomylną, że każda rzecz sumiennie obmyślana i uczciwie poprowadzona, znaleźć w końcu musi współczucie i uznanie.

Początkowe niedokładności, szczególnie pod względem niektórych zalet zewnętrznych, czytelnicy położyc zechcą na karb nowości naszego przedsięwzięcia, w którym siły wszelkiego rodzaju wynajdywać dopiero lub tworzyć, a trudności mozolnie pokonywać musimy.

Licząc więc na ich względność, rozpoczynamy w IMIĘ BOŻE naszą pracę, zagrzani szczerą chęcią służenia *pocziwój sławie i dobru powszechnemu.*

ANIOŁ ZMARTWYCHWSTANIA.

T. O. Sosnowskiego.

Kościół ks. karmelitów na Krakowskim-Przedmieściu w Warszawie, wzbogacony został w bieżącym roku pomnikiem grobowym w niezwykłej pomyślany formie: na skromnym piedestale wznosi się postać przedstawiająca Anioła Zmartwychwstania.

Posąg ten, z marmuru karraryjskiego, jest dziełem naszego rodaka, Oskara Sosnowskiego, i wykonany został w Rzymie, gdzie artysta długi czas przebywał.

Piedestał wyciosany jest z marmuru czarnego, pochodzącego z kopalni w Dębniku, w okręgu krakowskim, należącej do księży karmelitów w Czerny.

Na piedestale umieszczony napis objaśnia przeznaczenie tego pomnika:

Pamięci:

Bronisława w 1828 r.

i Eugeniusza w 1845.

Zmarłych h. należ.

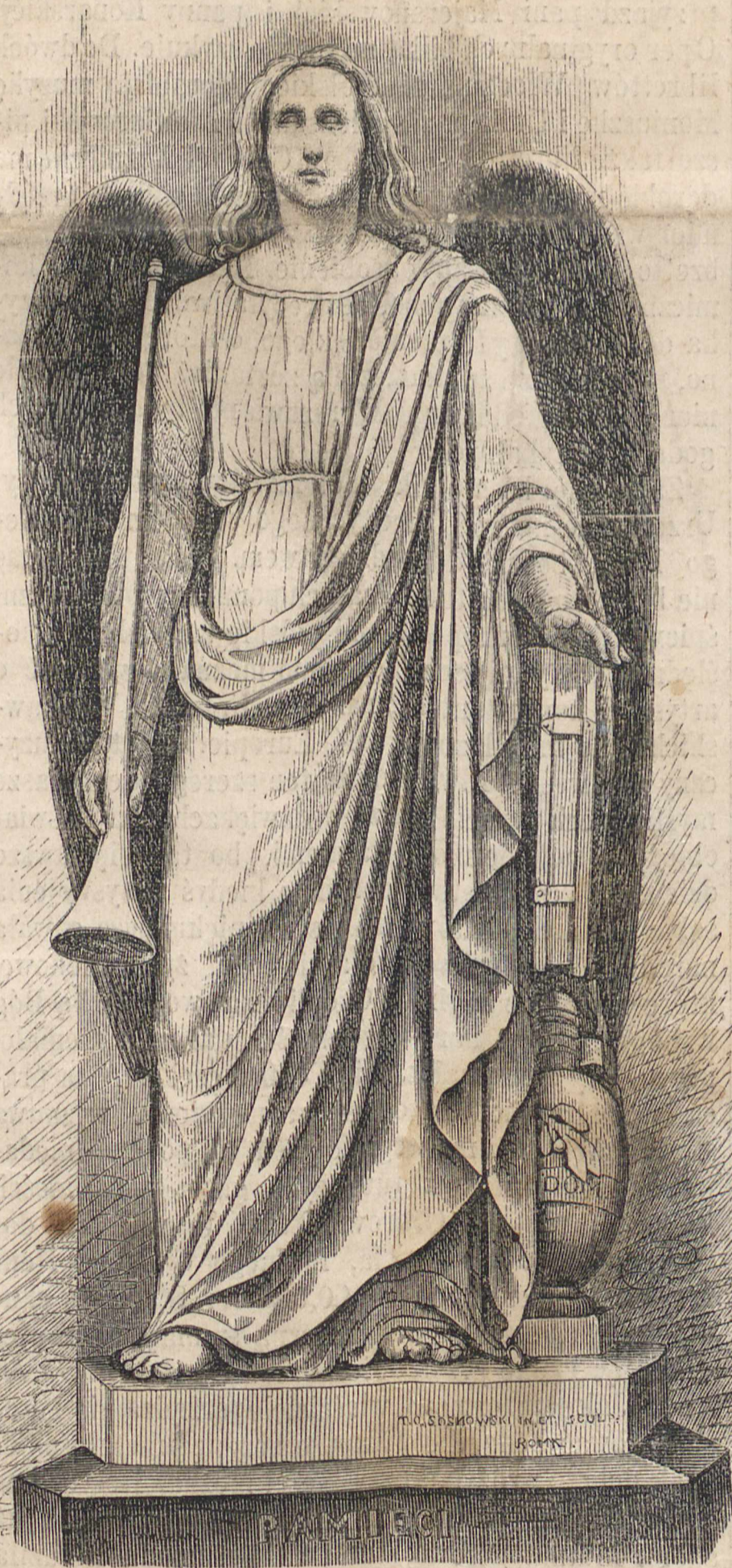
Sosnowskich,

poświęca T. O. Sosnowski.

Pamięci, zatem zmarłych braci artysta nasz poświęcił jedno z najpiękniejszych dzieł swoich, *Anioła Zmartwychwstania.*

Nie ma też nic stosowniejszego na pomnik grobowy, jak ten uroczysty symbol Chrystusowego nad śmiercią zwycięstwa, roznoszącego wśród nicości grobów, potężne tchnienie wiary i żywota.

Wyraz głębokiego spokoju, wytrwałego oczekiwania i bezustannój gotowości wybornie uwydatnia po-



ANIOŁ ZMARTWYCHWSTANIA O. SOSNOWSKIEGO.

Takie jest nasze redaktorskie wyznanie wiary, z którym stajemy przed sobą powszechno-

stać anioła, pełna powagi i szlachetnej prostoty. Oczy jego w górę wzniesione, z natchnioną ufnością oczekują na skinienie Boże, by radosną wieść zmartwychwstania dźwiękiem trąby ogłosić całemu stworzeniu. Symboliczna księga na popielnicy dopełnia znaczenia tej postaci. Ożywienie całości skupione jest w pięknej głowie, pełnej wzniosłego wyrazu i uczucia.

Wykonanie wszędzie jest staranne, dowodzące rzeczywistej znajomości przedmiotu; a że dla rzeźbiarza piękność form ciała ma urok szczególnie pociągający i usprawiedliwiony, artysta też widocznie z większym jeszcze zamiłowaniem rzeźbił głowę, ręce i stopy, aniżeli draperye, a szczególnie skrzydła.

We wszystkich wyraźne jest głębokie przejęcie się stylem nowoczesnej szkoły włoskiej, która dotąd nie zstępuje z kierunku nadanego rzeźbie przez Canovę. W utworach religijnej treści, wytrwale usiłuje ona myśl chrześcijańską przyoblec w formę klasyczną grecką; zadanie to niesłychanie jest trudne, a często niedobne do urzeczywistnienia.

Oskar Sosnowski, rodem z Wołynia, kształcił się lat kilka głównie w pracowni Raucha w Berlinie; przeniósł się później do Rzymu, gdzie wykonał wiele dzieł, mało znanych własnej jego ojczyźnie, a które, obok chlubnego uznania i współczucia zagranicznych artystów, zjednały mu zasłużone imię najznakomitszego z tegoczesnych rzeźbiarzy polskich.

Kronika tygodniowa.

Na początek daję cyfry.

W przeszłym roku wydano tutaj 36,000 paszportów za granicę, w bieżącym roku i 2,000 tylko. O dwie trzecie przeto mniej pieniędzy dostarczyliśmy w tym roku na przepaść Niemcom i innym narodom zamorskim. Kraj nasz zmądrzał. *Plaudite cives.*

A że zmądrzał, to nie sekret. Gorzkimi łzami tę mądrość jego oplakują wszyscy ci, którzy podczas łowickich jarmarków spekulowali zwykle na kieszenie obywatelstwa naszego. Dnia ostatniego, kiedy wszyscy prawie goście w arcybiskupim pozostałi mieście wydali się na konkurs oraczy, spostrzegłem jakiegoś jegomościa, który z założonemi rękami a melancholiczną twarzą przypatrywał się opustoszałej winiarni, jak niegdyś szach Abbas ruinom Ktezyfonu, a sądząc że współczucie widzi na mej twarzy, w te mniej więcej słowa odezwał się do mnie:

— Chylimy się panie ku upadkowi, ginie tradycya, nikt nie poszanowanie dla zwyczajów dawnych. Czy wiesz pan, ot w tym sklepie przez cały czas jarmarku łowickiego, za ledwie kilkanaście butelek węgryna, a szampa nie wiem czy dwa kosze wyszło. W karty już nie grają, wieczorynków nie wyprawiają; teatr za to przepelniony i na trzeźwo słuchają komedyi. Tak jest, na trzeźwo. Nawet harapnik, owo patryarchalne godło subordynacyi wiejskiej, wyszedł już z użycia. Jakże dziedzic proszę pana zrozumie się teraz z chłopem? Za to dają jakieś tam nagrody za bydło, przepatrują marchwie wysokiego wzrostu i dynie wybujałej urody. Niby to na marchwiach i dyniach świat stoi? Nawet, czy pan uwierzy, widziałem na własne oczy obywateli wiejskich, którzy pomijali sklepy z piernikami toruńskimi, a wypytywali się o książki i brali do ręki jakieś tam prospekta! Łowicz panie jest teraz Sodomą. Gotowi jeszcze na przyszły rok sprowadzić tu księgarnię i wystawę obrazów!! Odkąd pomiędzy setkami szlachty tu zgromadzonej nie mogłem znaleźć poczciwej partyi do faraona, odtąd zwątpiłem już na dobre o obywatelstwie naszym.

Dowiedziałem się później o nazwisku tego jegomości; znane ono dobrze w dziejach karcianych turniejów.

Ale nietylko za najotyłsze woły rozdawano nagrody w tym roku. I w Warszawie wyznaczono także premium za najlepszą komedya, chociaż woły corocznie, a komedye wyjątkowo tylko otrzymują nagrodę. A nie mówię tego sposobem uzalenia, nie chcę jako stronnik komedyi ubliżać w czémkolwiek czcigodnym wołom, pragnąłbym tylko żeby ten zwyczaj rozdawania nagród literackich mógł się nadal zachować, bo dobry jest. Wszakże konkursu nie szkodzą jarmarkom, owszem, czasem nawet podobne do nich, jeżeli wiele zdań sprzecznych.

W bieżącym roku, wypadek konkursu był prawdzi-

wą niespodzianką tak dla sędziów, jak i dla publiczności interesującej się literackimi sprawami. Jak wiadomo otrzymała nagrodę pięcioaktowa komedya Józefa Korzeniowskiego, pod tytułem „Majątek albo imię“. Trzecią to już z rzędu nagrodę konkursową bierze zasłużony nasz dramato-pisarz. Ani styl, ani wiersz, ani sposób pisania, ani układ sztuki nie zdradzały autora. Każdy z sędziów był przekonany że się dowie o nowym jakimś nazwisku, o nieznanym talencie, tak tryumfalnie wychodzącym w świat, do tego stopnia, że z początku po odpięczeniu koperty zawierającej *le secret de la comédie*, każdy wierzył w jakąś mistyfikacyę. Tym razem jednakże nie było żadnej. Komedya nagrodzona ma wkrótce być drukowaną w feljetonie Gazety Codzienniej; zobaczymy ją zapewne i na scenie. Accessit otrzymała komedya „Dla miłego grosza“, której autorem jest Apollo Nałęcz Korzeniowski. Tak więc dwaj Korzeniowscy otrzymali dwie pierwsze nagrody w szrankach konkursowych, a co dziwniejsza, obadwaj się zbiegli w głównej myśli, w treści, w samym nawet układzie osób do komedyi wchodzących. Obadwaj w jednym czasie padli na jeden przedmiot, i z tej samej strony nań się zapatrywali. To pewna że bieżący konkurs lepsze okazał rezultaty niż przeszły. Jeżeli w tym stosunku pójdzie dalej, to na nowy rok ciekawą będzie owa komedyo-pisarska walka.

Z nowości teatralnych, to co było przebrzmiało już, radziłyśmy nawet żeby *Staroświeczyzna*, która dotąd dość pełne widowiska czyni, stała się dla sceny prawdziwą staroświeczyzną, zapomnianą już i porzuconą. Zbliża się pomyślna dla teatru pora długich wieczorów, i teraz już kilka nowości nam zapowiadają. Po między innymi urzemy zapewne wkrótce komedya *Tak się dzieje*, napisaną wierszem przez Stanisława Bogusławskiego i podaną na styczniowy jeszcze konkurs. I terazniejszy powinienby przysporzyć teatrowi parę sztuk oryginalnych. Dla lubowników muzyki ważnemi nowinami są: zapowiedziane przedstawienie Proroka, wystąpienia pp. Zawiszanki i Płodowskiej, przyjazd pani Majeranowskiej i panny Konarskiej. Oper oryginalnych kilka na raz się szykuje. Do dwóch librettów Włodzimierza Wolskiego dorabiają muzykę Moniuszko i Dulken, zaś Aleksander Niewiarowski pisze także libretto, do którego Gabryel Rożniecki ma dorobić muzykę. Do przyszłej opery Moniuszki przedmiot wzięty z czasów pruskich; ci którzy czytali libretto, bardzo chwalą obrobienie. Będzie to opera komiczna, nawpół mówiona, bez recytatiwów. A i muzyka do Rokiczany Korzeniowskiego, o której tyle pisano, wkrótce może ukończoną zostanie. To już wcale niezły zasób; oddawna Warszawa nie była na takich godach muzykalnych.

Zaprawdę, błogie dla melomanów nastaly czasy. Urządzenie instytutu muzycznego wielkim dla całego kraju będzie dobrodziejstwem. Talentów u nas nie brak, bo w ostatnich czasach pomiędzy pierwszemi śpiewaczkami europejskimi polskie nazwiska niepoślednie zajęły miejsce. Toż samo można powiedzieć o artystach koncertantach; nazwiska Kątskich, Wieniawskich i tylu innych znane całej Europie. Instytut muzyczny z łatwością zdwoić może ten szereg. Niech nasze myśli, niech uczucia nasze w dźwiękach muzyki świat obiegają, pójdzie mowa za niemi, bo tak się zawsze dzieje, i obce literatury pożądają kiedyś przyswojenia sobie polskich płodów. To jest najpiękniejsza chwała narodu, to jest prawdziwe życie jego, życie wiekowe, które nigdy nie zaginie. Osobliwszą swoją łaską Bóg wzbogacił nasz naród, zdolności dał mu niemało; przy pracy a porządku żniwo obfite czeka. A ta praca z małuczkich zasobów ważne nieraz wysnuwa skutki. Widzieliśmy tego dowód na podanej niedawno przez którąś z tutejszych gazet wiadomości, że właścianie wsi Ożarów kupili tę wieś odczyteczasowego właściciela, hrabiego Gwidona Henel von Donnersmark, za 60,000 rsr. Starczyła chudoba włościńska na tak znaczną sumę, usprawiedliwiając znane przysłowie: *Gromada, to wielki człowiek*. Jak tam ci nowi właściciele urządzają się i gospodarować będą, nie wiemy jeszcze; z przeszłości jednak dobrze wroży o przyszłości można. Dotychczas powiadano o Polakach, że gdzie ich trzech, tam już spór i kłótnia gotowe; tutaj cała gromada zgodziła się na jedno. Dobry przykład dla innych.

Nie wiem dlaczego nigdzie dotąd nie doniesiono o dość ważnej innowacyi. Przy kolei żelaznej urządzono w tych czasach nową skrzynkę do listów, które mogą być wrzucane choćby w nocy, a nazajutrz rano

o 6tej odchodzą pociągiem pospiesznym, co stanowi wielką oszczędność czasu w razie jakiej pilnej sprawy. Daleko to wprawdzie jeszcze od londyńskich ulicznych telegrafów, ale przecież nie od razu Kraków zbudowany.

Jesteśmy w porze przechodniej, najniekorzystniejszej dla zabaw miejskich. Wypróżniają się letnie mieszkania, ściągają turyści z zagranicy, Warszawa zaczyna się zapełniać zwykłą swoją załogą. Niemcy, którzy przez całe lato szerzyli u nas oświecenie.... fajerwerkowe, przenoszą się z muzykami swojemi do salonów. Przyjęć dotychczas nie ma żadnych; tylko resursy, jak zwykle, stanowią jedyne punkta zebrań, wyłącznie dla mężczyzn.

A i o chwale Bożej dobrzy ludzie nie zapominają u nas. Rozpoczęto roboty około odnowienia kościoła mokotowskiego, w Wilanowie zaś szczodroblowością hrabiów Augustów Potockich śliczna i okazała stanęła świątynia, zbudowana podług planu pana Marcconiego. Kościół ten, pod wezwaniem Śój Anny, wystawiony przy wjeździe do pałacu, zlewa się z tym historycznym gmachem w harmonijną całość. Pan Marcconi jednak, zachowując styl włoski, potrafił mu nadać czystość i poprawność, jaka w pałacu nie wszędzie widzieć się daje.

Ot już podobno i kończyć trzeba, a jeszcze nie powiedziałem i połowy tego com miał do powiedzenia. Przyjmijcie na początek i ten szczupły zapas; skoro tor raz się utrże, a Bóg pobłogosławi dobrym chęciom, łacniej potrafię zająć was i ubawić. Obecnie na zakończenie zachowałem dwa dość ciekawe fakta, na tutejszym zebrane bruku.

Podczas zabaw ludowych na placu ujazdowskim urządzono tam teatrmarionetek. Jak wiadomo, wszystkie widowiska były w tym dniu bezpłatne; właściciel więc teatru, chcąc uniknąć tłoku, umieścił swoje budę na wzniesieniu. Do jedynego wejścia prowadziła drabina, a po tej drabinie tłoczyło się wszystko, dzieci, mężczyźni, kobiety. Kiedy już miejsca były pełne, podnoszono drabinę, i reszta zmuszoną była pozostać na dole. Podobał nam się bardzo ten nowy sposób zaprowadzania porządku między widzami.

Drugim faktem jest *prywatny* konkurs na komedya, który w tych dniach rozsądzony został w jednym z salonów warszawskich. Sztuk przedstawionych było 9. Zwycięzca, zamiast wieńca na głowę, otrzymał pantofle na nogi. Prawda że pantofle pięknymi haftowane były rączkami. Nie ma co się skarżyć, zawsze jeżeli nie górna, to przynajmniej dolna część jego ciała nagrodzoną została. Accessit stanowiły paryżkie rękawiczki; żadna jednak sztuka nie okazała się godną tego wspianego daru.

Z Y W O T I P R Z Y G O D Y

IMCI PANA JÓZEFA GABRYELA

Z GOZDA HRABI GOZDZKIEGO,

WOJEWODZICA PODLASKIEGO,

opisanie przez

J. I. KRASZEWSKIEGO (*)

Bieliński i stary Gozdzi. — Za ojca. — Ucieczka do Prus. — Obóz pruski. — Nocna wycieczka. — Sąd obozowy. — Dekret śmierci — Fryderyk II. — Sławiński na szubienicy, a Gozdzi w regimencie.

Marszałkiem wielkim koronnym był podówczas Bieliński Franciszek, który po Mniszchu tę godność piastował; człowiek wielkiego znaczenia, charakteru gwałtownego, dumny władzą i nieszanujący nikogo. Obawiano się jego absolutności, która przy sile jaką dawał urząd, istotnie straszną była. Ojca mego nie bardzo ludzie szanowali, a Bieliński za boże nie miał go stworzenie. Wojewoda unikał spotkania z nim, bo rzadko kiedy czego nie oberwał, ratując się tem, że z nim styczności nie miał. Nieszczęście chciało, żeby się u Małachowskich zeszli, a że zdawna krzywo na się patrzyli, w pierwszym początku rozmowy marszałek zaraz coś ojcu przyciął. Gozdzi krew ozwa-

(*) Ustęp ten jest wyjątkiem z obszerniejszej pracy ulubionego pisarza, którego powieść, umyślnie dla Tygodnika przygotowana, drukowaną będzie w późniejszych numerach naszego pisma.

ła się w starym, i plunął także ostrym wyrazem. Od słowa do słowa, poczęli sobie przymawiać coraz kwaśniej, i do tego przyszło, że wojewoda murzek: „Chociażes WMość marszałkiem, nie mieniałbym jego laski na mój kij sekaty.“ Bieliński, jak był passionat, tak się rozżarł i zapomniał, że powstawszy z krzesła, przystąpił do niego i począł go lżyć ostatnimi słowy, a w ostatku zakończył:

— Milcz... bo się możesz we dwadzieścia cztery godzin ze Świętą Trójcą zobaczyć!

Ojca mego wyprowadzili, ale że dużo było tej sromoty naszej świadków, że przeciw dumnemu starcowi nie mógł począć, powróciwszy do domu głowę stracił prawie z żalości i gniewu.

Ja o tém nic nie wiedziałem, bom rzadko tam gdzie ojciec bywał, mając swoje towarzystwo; wtém wchodzi do mnie nasz marszałek dworu Poporski, nocą kiedym do mojej izdebki powrócił, i powiada mi, że bym szedł na górę do jegomości, bo się jakieś zdarzyło nieszczęście. Jużem był kontusz zrzucił i rozpaszał się; porwawszy tedy na się com pod ręką znalazł, skokiem stanąłem w sypialni ojca. Widzę go, z załamaniem rękami chodzi po pokoju, a lży mu z oczów płyną... Księżę Ludwik Radziwiłł, koniuszy litewski, siedzi z zaciętymi usty, oba milczą. Ledwie mnie na progu ujrzał ojciec, podszedł do mnie z jakimś uczuciem, którego w nim nigdy nie widziałem dla siebie.

— Słuchaj Waś, Józefie, rzekł, rzuć imię Gozdzych... rzuć, dziś ono zbezczeszczone zostało.

— Kuzynie, przerwał koniuszy, uspokój się.

— Jabym się miał uspokoić! ja... ja... senator rzeczypospolitej publicznie zbesztany, zesromocony... Jak ludziom oczy pokaże, gdy się z tym człowiekiem spotkam?... Ani go wyzwąć na rękę... ani się pomścić.

Krew we mnie zakipiła...

— Ojciec dobrodzieju! rzekłem, jeśli mam cokolwiek laski, słowo tylko. Kto to uczynił? kto śmiał to uczynić, a będziesz pomszczonym... przysięgam, będziesz pomszczonym!...

Choć w wielkim nieładzie słów i myśli, wojewoda począł mi rozpowiadać jak się to stało... Oba starzy byli winni, bo sobie nie szczydzili przycinków; ale Bieliński stokroć winniejszy, że prywatnego człowieka urażę, marszałkostwa swego znaczeniem chciał wetować i śmiał się odgrażać.

Ledwie się domagał prawdy, jużem się nie zastanawiał nad niczem, i postanowiłem za ojca się pomścić, na co natychmiast przy księciu koniuszym wykonałem jurament; ale na to nie zważali bardzo, mając za prózną przechwałkę. Nie było wówczas człowieka, coby się na Bielińskiego śmiał porwać, bo to pachło szubienicą we dwadzieścia cztery godzin. Myśleli że wysapawszy się, pomiarkują że mi z marszałkiem walczyć niepodobna.

Ale ja byłem w wieku, w którym niepodobieństw i niebezpieczeństw nie widzi człowiek; awantur mi się chciało jak rybie wody; ojcowskie poniżenie dawno mi dojmowało, i gdy po długich lamentach, koło drugiej z północy, odjechał koniuszy, ja pełną mając głowę zamiarów najzuchwalszych, zbiegłem na dół do mego mieszkania, gniewny ale dumny, że się na coś przydać mogę.

Taka była natura moja, że coś postanowiwszy, ani spać, ani jeść, ani się czém inném zajmować nie mogłem, dopókim na swoim nie postawił; więc choć o drugiej z północy, w téjże chwili posłałem po masztalera i kazałem mu trzy konie osiodłać, a sam począłem się ubierać. Nie bardzom wiedział co czynię, to tylko czułem, że nie daruję krzywdy imieniu mojemu wyrządzonej. Kazałem pokojowcowi memu, a miałem wówczas bardzo żwawego chłopaka Sulmierzyckiego, uzbroić się także, i zbiegłszy do stajni, samotrzeć z pokojowcem i masztalarzem dosiadłem konia i wyjechałem na ulicę. Co tam mną w téj ekspedycyji kierowało, niewiem; jakiś instykt, czy wola Boża, dosyć że się to niewiele zastanawiając czyniło, a po myśli się błąkało, żeby wartę pod pałacem marszałka napocząć i przy pierwszym spotkaniu obelgą za obelgę publicznie zapłacić, albo łeb mu roztrzaskać.

Dopiero gdyś się w czarną noc znaleźli w pustych ulicach, pomiarkowałem że oszaleć musiał, i niewiedziąc po co nocą wyruszył, ale już znowu wstyd się było zwracać. Puściwszy tedy konia w cwał, poleciałem do pałacu Bielińskich.

Niedaleko Saskiego pałacu, zdaleka mignęły mi dwie pochodnie i kareta. Dopadam i poznaję, jakby

mi sam go Pan Bóg chciał dać w ręce, marszałka, który parą ogromnych, całemu miastu znanych tarantów, powoli do siebie powracał.

Gdybym miał czas ochłonać z passyi, możebym się zastanowił, że głowę swoją ryzykowałem, ale w téj chwili nie mię powstrzymać nie mogło. Jakem skoro poznał, że mi los szczęśliwy daje w ręce nieprzyjaciela, pokojowcowi kazałem konie u karety chwycić, a tenby był na mój rozkaz koło młyńskie zębami porwał, konia mego oddał masztalarzowi, a sam rzuciłem się do drzwiczek, i gwałtownie je oderwawszy, stałem przeciwko Bielińskiemu.

Stary, pomimo nieograniczonej władzy w mieście i zupełnego bezpieczeństwa o swą osobę, którą prawo otaczało strachem, poczuwając się znać do czegoś, pobladł, ale gwałtowny jak zawsze, drżał zarazem i wściekał się. Postrzegłem go przy świetle pochodni oniemiałego, z oczyma prawie z głowy wyskakującymi i drżącymi wargami.

— Słuchaj, krzyknąłem, wiesz lub dorozumiewasz się kto jestem... bo ci sumienie wyrzucać musi, żeś starca publicznie pokrzywdził, a póki jest na świecie choć jeden imię jego noszący, tego ci darować nie możemy. Jestem Gozdzi... i przyszedłem ci to oddać z nawiązką, czémeś ojca mego nakarmił. Jesteś podły i nikczemny, boś się rzucił na bezbronnego, boś nadużył władzy, boś szlachcica sobie równego uczynił pośmiewiskiem... Naucz się drugi raz ludzi szanować!

To mówiąc, rękawiczką uchylającego się przedemną i pniącego ze złości trzepnąłem po twarzy, i odskoczyłem od drzwiczek.

Sam niewiem potem jakim konia mego dosiadł i do ojcowskiego domu się dostał. W dziedzińcu rzuciłem wierzchowca i wprost wbiegłem do ojca, który nie spał jeszcze.

— Jesteś pomszczony, rzekłem wchodząc... los mi dał spotkać na ulicy Bielińskiego, i na jego twarzy zostanie niezmazana pamiątka, że śmiał Gozdzi upokorzyć.

Ojciec uszom zrazu wierzyć nie chciał, ale się rozradował i do piersi mnie przycisnął. Tuż przyszła refleksya, co robić, aby uniknąć dalszych takięj sprawy następności. Kto zna wszechwładztwo wówczas Bielińskiego i moc jaką prawo dawało marszałkom przy boku króla zostającym, ten tylko pomiarkuje, co nam groziło. Marszałek był pokrzywdzony i mściwy, w ręku miał miecz, którym sobie mógł sprawiedliwość wymierzyć: nie było sposobu uniknięcia zemsty jego.

Ojciec, choć mu to dogadzało, że się za jego sprawę, własne nadstawiając życie, ujął tak gorąco, głowę stracił. Posłano po księcia Radziwiłła do rady, gdyż chwili nie tracąc, trzeba było zaraz myśleć o mojem bezpieczeństwie, nimby się Bieliński, ochłonałszy, wziął do mnie.

O godzinie czwartej nadjechał koniuszy i zrazu wierzył mi nie chcąc, gdy z zeznań Sulmierzyckiego przekonał się że w istocie takem się sprawił, powiedział od razu, że innęj rady niema, tylko mnie z kraju wyprawić. Lukta była gdzie i dokąd; ale służył podówczas w wojsku pruskim generał Małachowski, wuj mój przyszły, brat panny Barbary; do tego więc postanowili mnie wysłać. Robiło się to tak, iż konie stały nierozsiodlane, a Sulmierzycki i masztalierz czekali. Siadł wojewoda list pisać do Małachowskiego, ja na dół pobiegłem przeodziać się i chwycić co na prędce można było, zebrało się w domu dwa tysiące czerwonych złotych, i o brzasku dnia konno wybiegłem z Warszawy, niepewien czy mnie ścigać nie będą, czy gdzie nie złapią... Na wszelki przypadek byliśmy zbrojni dobrze, miałem dwie pary pistoletów, pałasz i nóż turecki za pasem; Sulmierzycki także, i bylibyśmy dziesięciu się napastników nie zlekli.

Dopiero za miastem, gdy mnie chłodniejsze objęło powietrze i ranek zmęczenie nocne dał uczuć, począłem egzaminować przeszłość i przyszłość moję, z pociechą widząc, że nie uczyniłem, czego bym z ochotą nie powtórzył znowu. Sumienie miałem spokojne, strach jakoś nigdy nie miał przystępu do serca mego, przyszłość się śmiała. Król pruski właśnie siedmioletnią zabawiony był wojną, dobrego żołnierza jak ja odrzucić nie mógł, a kto wie, jaka tam pod okiem takiego wodza dla mnie otworzyć się mogła karyera. Czułem w sobie i meztwo, i potrzebę zajęcia. Warszawa stęchliżną mi śmierdziała, i choć poza sobą zostawiłem nie lada węzełek do

rozplątania, z dobrym humorem jechałem ku nieznanęj przyszłości. Ojciec mi dał znać potem, że niedalej w pół godziny po moim odejździe, nasłany na pałac nasz inspektor sądów marszałkowskich, z żołnierzami i pacholkami, zastukał do bramy. Dopominano się, aby mnie wydano; ludzie powiedzieli, że nie nocował, bo tak już byli nauczeni. Strzegli tedy pacholki dwór cały od strychu do piwnicy, nie mijając najmniejszego kącika, szukając i pod łózkami, i po szafach, ale naturalnie śladu już winowajcy nie było. Pobrano ludzi do aresztu; pogoni jednak nie porozyszano, i dali mi swobodnie za granicę pruską się przeprawić. — Jam tedy prosto do obozu, wiedząc że tam jest generał Małachowski, pociągnął. Paszport miałem wyrobiony na imię Krzysztofa Sławińskiego, którego nigdy na świecie nie było, i z tém nazwiskiem meldowałem się po drodze, Gozdzi do kieszeni schowawszy.

Nie było to bez racyi, gdyż zemsta Bielińskiego i za granicą ścigać mnie mogła. Małachowski przyjął mnie dobrze, ale na razie, gdy wyegzaminował co umiem i popatrzył mi w oczy, uznał jeszcze potrzebnem w pruski egzercerunek mnie wdrożyć i kazał mi się uczyć musztry, wedle obyczaju, który tu ściśle był przestrzegany. Wziął mnie jednak za swojego adjutanta, a nimby mu się mógł do czego przydać, używał do kancelaryi. Wojsko pruskie w owym czasie składało się nie z samych Niemców, ale z najrozmaitszego pochodzenia ludzi: byli w nim pochwytni i pozaciągani różnemi sposoby, ba i gwałtem, awanturnicy z całego świata, pod karabin postawieni księża, a między tym tłumem różnojęzycznym dosyć też Polaków, którym w domu gnuśny pokój nie smakował.

Człek tedy nie był zbyt odosobniony, bo choć wolontery polskie w wojsku pruskim nie mogły się poszczycić ani imionami sławnymi, ani wychowaniem wytwornem, i byli to ludzie nie mający do stracenia, wszakże człowiek choć przez ich usta słyszał miłą mowę swoją i miał się do kogo obrócić.

Byłem naówczas w kwiecie wieku i mogłem się na żołnierza podobać, choćby królowi pruskiemu, który łokciem mierzył swoich gwardystów i o wzrost dbał więcej niż o serce. Pan Bóg mi dał i postawę dzielną, i twarz piękną, i ramiona szerokie, i oko wesołe, i usta uśmiechnięte nawet w biedzie, a humor prawdziwie wówczas miałem żołnierski. Nigdy się nie zachmurzył, nie zatrwożył i nie dał wziąć pomieszany; przytomność największą i porywczosć też miałem wielką; ale pobywwszy w obozie, który niedaleko był austriackiego feldmarszałka Laudona, trzymany przez Małachowskiego na pasku, żebym jakiego wybryku nie zrobił, nie spróbowałem jeszcze pałasza i nie powąchawszy prochu, nudziłem się, że mnie w kancelaryi ciągle zamykano.

Dosyć długi czas nie było na to rady. Małachowski mi wciąż odpowiadał: Przyjdzie i do tego, poczekaj.

Czekaj! czekaj, a tu kociło, mundur już nosząc, ochrzcić go krwią nieprzyjacielską i czéms się odznaczyć, bo taką miałem zawsze naturę, że spokojnie w kącie siedzieć nie potrafił. Chciało się próbować, czy też Niemiec się bije i jak, a nie miałem ich za Boże stworzenia, wyobrażając sobie tylko takich Niemców, jakich u nas widać za warsztatem, co krzyczą czasem, ale przed pałaszem się chowają do dziury.

Raz drugi tedy Małachowskiego proszę: Kochany generale, dajże mi też mięsa białego spróbować. Cóż ze mnie za żołnierz, kiedym jeszcze nawet na żart w pole nie wyszedł...

Ten się trochę śmiał, ale pod różnemi pozorami nie puszczał, nudząc musztrą, która więcej u nas czasu brała, niż wszystko. Mnie się zdawało że to na nic nieprzydatne; ale pruski żołnierz był lalką, którą musiano nieustannie stroić, przedstawiać, prostować, szykować, aby z niego jakakolwiek całość zrobić, bo toby inaczej jedno się drugiego nie trzymało.

Tak mi w końcu to obozowe życie dojadło, że już wytrzymać nie mogłem, i postanowiłem najmocniej czéms się przecie odznaczyć.

W regimencie Małachowskiego najwięcej było Polaków; z temi tedy najprzód porozumieć się przyszło. Pieniądze miałem i wcalem ich nie żałował, żołnierz był skąpo płatny i w wielkim trzymany rygorze; gdy więc począł ich poić i karmić na mój rachunek, a z niemi za pan brat sobie poczynąć, w krótkim czasie zjednałem ich sobie do jednego, tak iż byliby się pokrajać dali za mnie. (Dal. ciąg nast.).

ODNOGA DROGI ŻELAZNÉJ WARSZAWSKO-WIEDZIŃSKIEJ
pod nazwą
ZĄBKOWICKO-KOTOWICKIEJ.

W d. 24 sierpnia r. b. odbyła została inauguracyjna droga żelaznej ząbkowicko-kotowickiej, o czém dzienniki warszawskie w swoim czasie szczegółowo doniosły. Podając przeto w Tygodniku naszym drzeworyt uroczystość tę przedstawiający, powiemy tylko słów kilka o samej drodze i o korzyściach jaką ona dla publiczności przyniesie.

Kolój ząbkowicko-kotowicka, (niewłaściwie katowicka, z niemiecka od Katowitz, nazywana) łączy bezpośrednio naszą drogę warszawsko-wiedeńską z drogami pruskimi, a tym sposobem nietylko że skraca drogę w tym kierunku o 2 i pół mili blisko, gdyż nie ma już potrzeby przejeżdżania przez stacją Granica i część państwa austriackiego, ze Szczakowy do Mysłowic, ale co daleko ważniejsze, uchyla stratę czasu i uciążliwą ekspedycją na granicy austriackiej.

Oprócz téj ważnej korzyści dla podróżujących i handlu, nowa ta droga, przechodząc przez bogate pokłady węgla kamiennego w Dąbrowie, ułatwi jego transport, a tém samym obniży cenę tego paliwa w okolicach najbardziej go potrzebujących. Oto są dogodności wynikłe z otworzenia téj komunikacji; teraz wracamy do samej drogi.

Ma ona długości z Ząbkowic do granicy pruskiej 16 wiorst i 214 sażeni. Kierunek jęj jest taki: oddziela się po prawej stronie od linii głównej drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, prowadząc prosto do stacji Dąbrowa, w którém to miejscu drogi boczne, wykonane przez wydział górnictwa kosztem rządu, łączą ją z tamecznymi kopalniami węgla kamiennego, jak Reden, Ksawery i inne. Dla przebycia góry pod Będzinem wykopano przekop do 25 stóp głęboki; ztąd idzie droga przez dolinę Czarnéj Przemszy, niedaleko wsi Sielec przecina rzekę mostem żelaznym, wykonanym w zakładach Hr. Andrzeja Zamojskiego, i ztąd zwraca się na wschód do Sosnowic, osady na

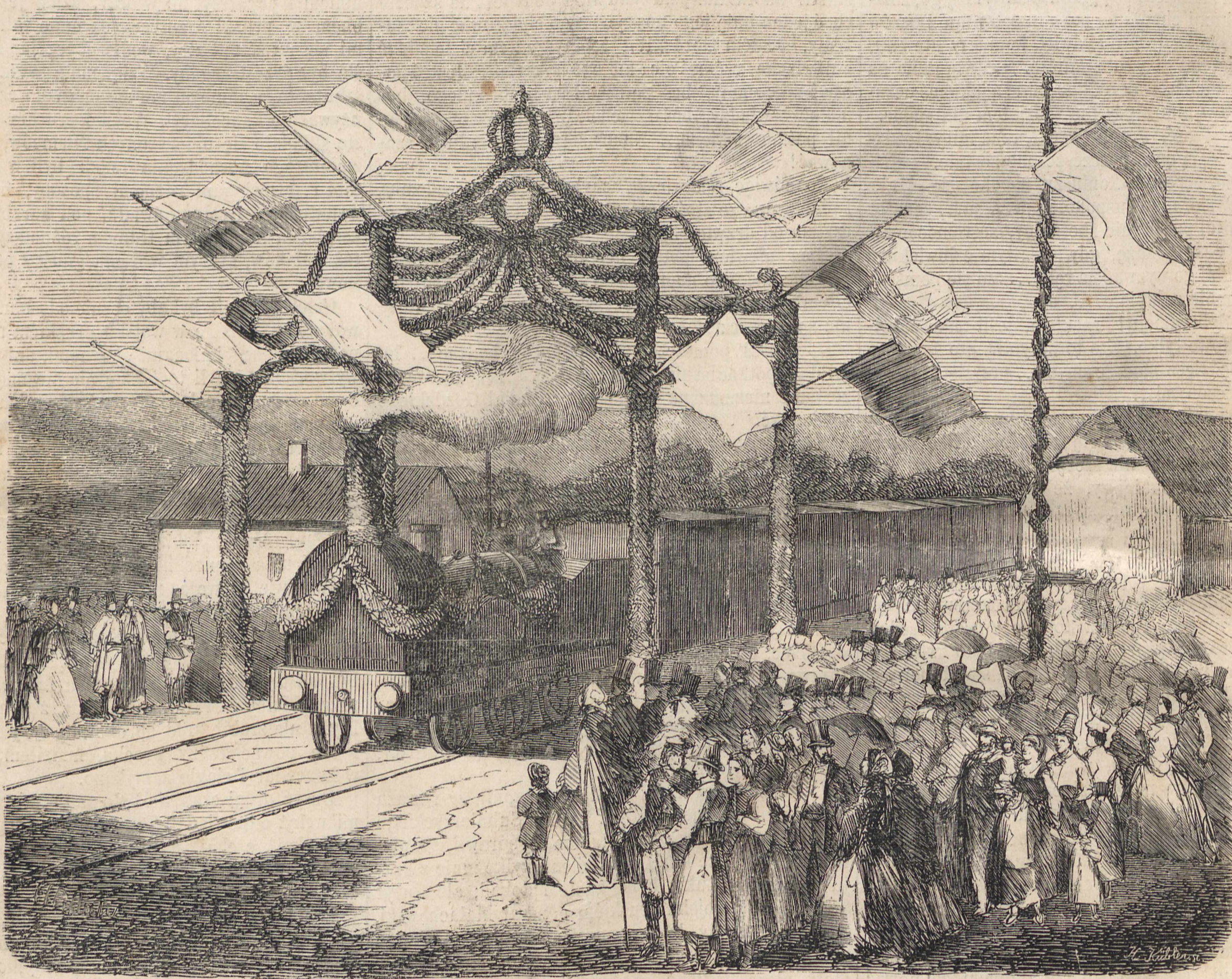
KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI.

Założyciel, jeżeli nie skutkiem, to zamiarem i myślą, jednę z najpiękniejszych w narodzie fundacyj, godzien jest przed innemi, byśmy w Tygodniku zamieścili szlachetne jego oblicze.

Oto są krótkie szczegóły dotyczące jego biografii i w ogóle rodziny.

Rodzina jest mazowiecka, herbu półkozic, pisze się zaś ze Świdna, to jest z wioski nad Pilicą, w parafii michałowickiej. Granica już tutaj dawnego Mazowsza z ziemią opoczyńską, która od wieków do sandomierskiego księstwa, a potem województwa, należała. Świdno do ostatnich prawie czasów było w ręku Świdzińskich, i teraz jest w ich posiadaniu, ale po kądzieli, gdyż Michał Stadnicki, dziedzic obecny, wziął Świdno po żonie, która się rodzi ze Świdzińskiej.

Pierwszym senatorem z tego domu był Wawrzyniec, ze stolnika i sędziego grodz. rawskiego, kasztelan gostyński, który za żonę miał Grzybowską. Umarł 1725. Z trzech synów kasztelana średni, Stanisław, uro-



OTWARCIE DROGI ŻELAZNÉJ ZĄBKOWICKO-KOTOWICKIEJ.

Dawniej wyjeżdżało się z Warszawy o godzinie 5 i pół po południu do Granicy; tam około 3ch godzin nocną porą trzeba było zajmować się ekspedycją pakunków, kupnem biletów i załatwianiem przepisów celnych i paszportowych. Po przybyciu z Granicy do Szczakowy, w kilka minut, znowu nowa zwłoka, skutkiem której często bardzo nie trafiano już na pociąg szlaski, odchodzący z Mysłowic o godzinie 6ej rano; kto zaś pociągiem tym mógł w dalszą puścić się podróż, przybywał do Wrocławia o godzinie 12ej w południe i tam musiał oczekiwać do godziny 9 i pół wieczór, na pociąg do Berlina lub Drezna idący.

Po otwarciu zaś drogi ząbkowicko-kotowickiej dla użytku publicznego, co nastąpiło 26 sierpnia r. b., wyjeżdża się z Warszawy o 6ej rano, staje się w Sosnowicach o 2ej po południu, w Kotowicach o 3ej minut 10, w Wrocławiu o 9ej wieczór, a na drugi dzień o 5ej dojeżdża się do Berlina. Zyskuje się zatem 12 godzin czasu i unika się utrudnień jakie z przejazdem przez granicę austriacką były połączone. Do Drezna przyjeżdża się o 4ej rano nazajutrz.

granicy Pruss położonej, do Sielca należącej, gdzie stanęła stacja pograniczna.

Most, cały z żelaza, na rzece Brynicy, stanowiący granicę między królestwem a Prusami, wystawionym został kosztem wspólnym drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i drogi górno-szlaskiej.

Na stacji Dąbrowa stanął tylko niewielki budynek stacyjny, połączony ze składem towarowym, oraz domek mieszkalny dla officialistów miejscowych; w Sosnowicach zaś postawiono obszerny dworzec, mieszczący w sobie pokoje dla Najdostojniejszych Osób, sale 1ej, 2ej i 3ej klasy, lokal dla ekspedycji celnej, biuro paszportowe i różne mieszkania. Oprócz tego znajduje się tam jeszcze dom mieszkalny dla niższej służby, szopa na parowozy i wagony, pomost obrotowy i t. d. Budowle dla wydziału celnego, postawione będą kosztem zarządu celnego, co nim nastąpi, w tymczasowym zabudowaniu czynności celne się odbywają.

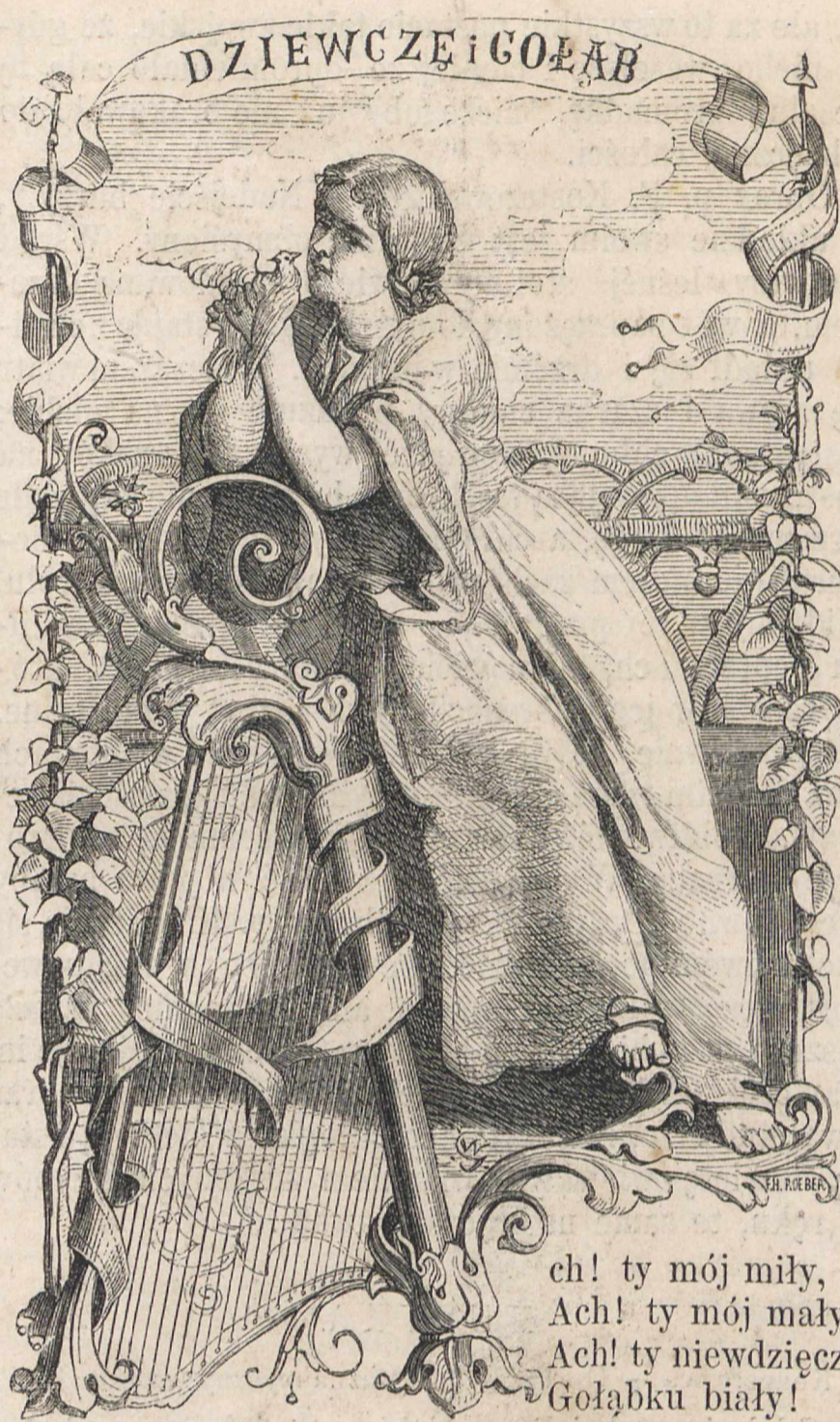
dził się około czasu wyprawy wiedeńskiej króla Jana. Wszedłszy do wojska koronnego, został po wielu latach półkownikiem, wreszcie regimentarzem partyi ukraińskiej, i znakomicie się wstawił na kresach i w bojach z hajdamakami. Gorliwie przez całe życie swoje uganiał się na ponadnieprzu, wędząc członki na stepowym wietrze, i przywykł wreszcie tak do téj podjazdowej wojny i do niepokoju z dnia na dzień, że zawsze z radością się wyrwał z grona sejmów, z domowego zacisza, aby tylko pobujać po tęsknej Ukrainie. Na Podolu miał też główne starostwa swoje, bractwskie i lityńskie, a pod koniec już rycerskiego zawodu, dostał w rodzinnych stronach starostwo radomskie. Wtenczas ożenił się z Dziulaną, wdową po Brzechowskim strażniku koronnym, z którą żył zaledwie lat kilka. Po żonie nabył prawa do Sulgostowa i do Klwowa, które niedaleko leżały od Świdna, ale już za Pilicą, w ziemi opoczyńskiej. Odtąd te dwa miejsca są główną siedzibą Świdzińskich, którzy w Sulgostowie mieszkają po dawno wygasłej rodzinie Duninów Sulgostowski

W bezkrólewiu po Augustcie IIgim, starosta braclawski, regimentarz, jest marszałkiem konfederacji braclawskiej, która się oświadcza za sprawą Leszczyńskiego. Następnie, z rady generalności dzikowskiej, wyznaczony został do boku tego króla. Ale dopiero August IIIci mógł wynagrodzić i wynagrodził świetne, długoletnie jego zasługi dla ojczyzny. Mianował go wojewodą braclawskim, trzymał mu syna do chrztu w kaplicy pałacowej w Warszawie, razem z żoną swoją Maryą Józefą, dał order orła białego, i wreszcie po wieloletach posunął Świdzińskiego wyżej o kilka stopni w senacie, na województwo rawskie. Żył już wtedy Stanisław tylko pamięcią dawnych czasów i poświęcił się całkiem dla swojej rodziny; dobra podnosił, urzędy swoje, godności, starostwa dzielił pomiędzy zięciów i synów, a dla Klwowa wyrabiał różne przywileje. Jeden z synów, Michał, ożenił się z Barbarą Krasieńską, starościanką nowomiejską, a więc był szwagrem księżny Karolowej kurlandzkiej, która nieraz przed okiem dworu ukrywała się w Sulgostowie, tęskniąc do swojego królewica. Samego nawet księcia kurlandzkiego przyjmował Świdziński u siebie. Zrzuciwszy się z urzędów i polubiwszy spokojność, zrzucił się i z krzesła, którego już nikomu ze swoich nie mógł ustąpić; złożył województwo rawskie (w roku 1757). Odtąd nazywają go w gazetach tylko po prostu „Świdziński, kawaler orderu orła białego“. Pamięć jednak dla zasług swych rycerskich zachował na długo i ztąd zatrzymał do śmierci rotmistrzostwo w chorągwi pancerniej, którą wziął po obożnym Ożarowskim. Syt zasług, umarł w Sulgostowie 7 listopada 1761, mając lat 77. Pochowany w Klwowie.

Michał, wojewodzie rawski, najprzód starosta lityński, był dziadem Konstantego. Pomieniał się ze szwagrem swoim, Kaźmirzem Granowskim, i wziął starostwo radomskie za Lityń. Za Augusta IIIgo jeszcze był szambelanem i półkownikiem wojsk koronnych. Za króla Stanisława przesiadł się do senatu i został kasztelanem radomskim w roku 1772. Umarł przed samem zaczęciem sejmku czteroletniego, 17 sierpnia 1788 r.

Z dzieci jego syn Kajetan był ojcem Konstantego. Wychowywał się w korpusie warszawskim kadetów, za czasów sejmku czteroletniego. Matka widać chciała z niego porządnego obywatela wykształcić, kiedy żądała od syna, żeby na sessjach sejmowych bywał i donosił jej o zapadłych konstytucjach. W roku 1789 został chorążym w wojsku koronnym; ale na tym stopniu skończyła się służba publiczna Kajetana Świdzińskiego. Była to natura chorowita, całe życie z siebie niezadowolona. Umarł r. 1814.

Konstanty urodził się w zamku sulgostowskim 17 listopada, 1793, z Felicanny Hadziewiczówny, córki brygadiera wojsk koronnych Piotra, który po wybuchu Targowicy wziął dymisję z rangą generał-majora. Ten ostatni po żonie swojej, Charleskiej, potomce rodu niegdyś znakomitego a czysto ruskiego, wziął obszerne dobra na Ukrainie, Chodorkowszczyznę, i całe paki archiwów rodzinnych. Matka umarła Konstantemu w roku 1797; wychował się zatem u Jana stryja w Galicyi, gdzie mu stryjka zastępowała z ochotą miejsce rodzonej matki. Znalazła się tam w okolicy Stariej Wsi i zacna kasztelanowa Połaniecka, wzór cnót niewieścich polskich. Bywał często młody Świdziński u tej matrony, rodzonej siostry dziada swego Michała, i powoli przywykał do tych poważnych typów przeszłości, które w nim wzbudziły tak gorące potem zamiłowanie pamiętek historycznych. Od dzieciństwa sam się brał do nauki; gdy w Sulgostowie wystarczyć sobie nie mógł, ojciec sprowadził profesora z liceum warszawskiego, uczonego Niemca Lindau, który Konstantego poduczył dobrze po łacinie, gdyż dotąd całe wychowanie jego było modne i zupełnie francuzkie. Za radą Lindau'a oddał następnie ojciec młodzieńca do liceum w roku 1808. W lat cztery potem młody Świdziński wziął nagrodę publiczną i złożył egzamen dojrzałości w roku 1812. Chciał go wtedy ojciec posuwać w świat ku godnościom na drodze dyplomatycznej, ale syn za bardzo już pokochał literaturę i starożytności. Jednym i drugim widokom dogadzając, Konstanty wybierał się na uniwersytet za granicę, do



ch! ty mój miły,
Ach! ty mój mały,
Ach! ty niewdzięczny
Gołąbku biały!

2.
Gdybym tak chciała
Całować kogo,
Czyżby z rąk moich
Rwał się tak z trwożą?

3.
I mnież to przyszło
Żądać daremnie,
By mnie ktoś raczył
Kochać wzajemnie?

4.
A przecież czuję,
Choć mną tak gardzi,
Że go z dnia na dzień
Kocham tém bardziej.

5.
Czyż i od ludzi,
Jak od gołębia,
Tak obojętność
Serc nie oziębia?

6.
O! o! po nici
Dochodzę kłębka;
Toć i ja będę
Brać wzór z gołąbka.

7.
Im który tkliwiej,
Tém ja z nim hardziej,
Aż będzie musiał
Kochać tém bardziej!

8.
Lecz niechże zgadnie,
Komu dokuczę,
Że się srogości
Z gołąbka ucze....

A. E. Odyniec.



KONSTANTY ŚWIDZIŃSKI.

Lipska lub Getyngi, i czekał tylko chwili sposobnej, aż wojna w Europie ucichnie, kiedy nagle zbliżyła się śmierć ojca, i Świdziński musiał pozostać w domu; wymagały tej ofiary sprawy majątkowe. Ojciec tak bowiem żył, że mało co po nim zostało, a Sulgostów nawet, który padł na schedę Konstantego, był obciążony takimi długami, że przewyższały wartość majątku. Jednak przyjął ten spadek na siebie dobry syn, żeby długi ojcowskie opłacić i oczyścić dobra rodziny. Pracował tedy bez ustanku, wytrwale, z poświęceniem się i z zapalem. Jednocześnie, w miarę tego jak się oczyszczał majątek, gdy dawna struna zabrzęczała w sercu, zaczął gromadzić książki, pamiątki przeszłości, skarby wszelkiego rodzaju dla ludzi rozumnych. Już w roku 1818 Świdziński znany jest w całym kraju jako zawołany bibliopol, zna go Lelewel i towarzystwo przyjaciół nauk. Występuje wtenczas i na drodze politycznej, na zgromadzeniach narodowych.

Po roku 1831 Świdziński wyjechał za granicę i dosyć długo przesiadywał w Krakowie, które to miasto zwidzał wtedy po raz ostatni. Poświęcił się odtąd całkiem swoim zbiorom naukowym, do nich tęsknił i postanowił w nie przelać całe swoje życie. Odtąd nawet wędrówki swoje po ziemi polskiej Świdziński znaczą bibliotekami; główny zbiór był w Sulgostowie, podrzędne w Krakowie i w Poznaniu.

(Dokończenie w następnym numerze.)

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Wyobraźnia, ta córa nieba, z mieniącym się oblaczem, pełnym ruchu i młodzieńczej świeżości, prawdziwa to i wierna przyjaciółka, co ciepłym swą miłości ogrzewa smętne i trudu pełne chwile naszego żywota, a lekkim skrzydłem zwiewa z oczu niemile obrazy codziennej rzeczywistości.

Gdy czarodziejka ta przeniesie nas w dawno minione stulecia, i powita świeżym swym spojrzeniem dzielne i poważne oblicza naddziadów naszych, gdy wniknie w tajnie serca ludu, odbijające się w jego zwyczajach i obyczajach, gdy nareszcie stawi nam na oczy piękności natury kraju naszego, tak mało dotąd cenione, wtedy rozjaśni się wzrok nasz duchowy, a przeszłość i terażniejszość, zbliżone tym sposobem do siebie, ochronią nas od obcych wpływów i od fałszywych kierunków.

Kiedy więc obecnie w piśmie niniejszem otwiera się dla nas ciągła sposobność porozumiewania się w rzeczach sztuki tak krajowej jako i zagranicznej, spodziewamy się że czytelnicy, napotykając w kronice sztuk pięknych sprawozdania z dzieł architektury rzeźby i malarstwa, pojawiających się ciągle na wystawie krajowej, oraz różne ogólne wiadomości do tej dziedziny należące, znajdą w nich szlachetną rozrywkę po trudach codziennego życia, więcej się zajmą sztuką i sympatją swoją przyczynią się do jej wzrostu. Po tych kilku słowach wstępnych, nie chcąc ograniczać się na samych obietnicach, damy czytelnikom naszym pokrótce wyobrażenie o kilku nowszych pracach, znajdujących się obecnie na wystawie krajowej sztuk pięknych; o wszystkich bowiem, z powodu wielkiej ich ilości, a więcej jeszcze dla braku miejsca w kronice, pisać nam niepodobna.

Bez zaprzeczenia pomiędzy obrazami historycznej treści, najpierwsze miejsce obecnie zajmuje kompozyca p. J. Simlera, przedstawiająca Katarzynę Jagiellonkę, z mężem jej Janem IIIcim księciem finlandzkim, oraz synem Zygmuntem (później królem polskim i szwedzkim) w więzieniu na zamku grypsolskim, od r. 1563 do 1567. Gdy jednak szczegółowy rozbiór tego obrazu pod względem treści, dał nam już w „Czasie“ światły znawca i krytyk p. L. Siemieński, a jeszcze bardziej szczegółowy pod względem formy w nrze 240 „Gazety Warszawskiej“ p. J. Czarnowski, przeto nie chcąc, jak to ten ostatni uczynił, radzić p. Simlerowi, ażeby nie tę ale inną kompozycją wykonał, kiedy już ta jest wykonaną, i to z wielkim zrozumieniem sztuki, we wszystkich jej warun-

kach; powiemy tylko że p. Simler wlał w postacie swego utworu tyle wyrazu smętnej melancholii i godności wysoko-ludzkiej, jak rzadko zdarza się widzieć w tego rodzaju utworach. Gdyby nawet, jak to twierdzi p. J. C., oblicze księżęcia szwedzkiego nie nosiło na sobie piętna właściwej narodowości, to byśmy i tak jeszcze nie śmieli wyprawiać tak zdolnego i sympatycznego artysty jak p. Simler „za mury Warszawy“ na jakieś studia bezcelowe, bo jesteśmy zdania, że ówczesny typ Szweda może być tylko odszukany w twórczej wyobraźni artysty, co właśnie tu miało miejsce.

Pan J. Suchodolski przedstawił nam ostatnie chwile ks. Józefa Poniatowskiego, gdy otoczony towarzyszami broni, rzuca się na spienionym rumaku w złowrogą prąd Elstery. Pięknyto i dramatyczny występ historyi naszego bohatera, i dlatego niezmiernie trudny do oddania. Układ tego obrazu dość szczęśliwy; wiele pojedynczych szczegółów jest tu wykonanych z wielką znajomością ryzostunku wojennego, lecz charakter głównej figury zdaje nam się za miękki, nadzbyt sentymentalny, brak mu tej mężkiej rezygnacji nieszczęścia, jaka powinna cechować tego rodzaju wojenne postacie. Rysunek koni i ludzi nie wszędzie dość poprawny, jakby się tego można spodziewać po dojrzałym talencie zdolnego malarza bitew.

Duch Sieroty p. Kaplińskiego, wykonany na temat rzewnej piosenki T. Lenartowicza, należy z natury swojej do tych lekkich, duchowych kreacji, jakie nowoczesne romantyczne malarstwo usiłuje w plastycznych kształtach przedstawiać. Piękna to dążność artystów o bujnej wyobraźni i głębokim uczuciu, ale zdradna zarazem droga dla tych, co z natury nieusposobieni do obłocnych wędrówek fantazyi.

Pojęcie przedmiotu który sobie obrał p. K. polega nietylko na trafnym oddaniu odrębnego charakteru figur, z których jedna świat rzeczywisty, druga duchowy przedstawia, ale także na poetycznym przedstawieniu chwili, w której się odbywa to kontrastowe spotkanie gajowego z duchem sieroty. Przytęm dodamy jeszcze, że jeżeli w każdej kompozycji, zupełnie nawet ziemskiego charakteru, prawda i poprawność rysunku są nieodzowne, to jakże subtelnym on być powinien, gdy idzie o przedstawienie idealnej postaci, któraby myśl naszą oderwała od ziemskich ułomności, i stawiała nam na żywe oczy to, co poezya daje nam uczuć w mglistej szacie opisu. Otóż wyznać musimy, że figury w tym obrazie są bez charakteru, nieme i milczące jak dwa głazy; żadnej tu niema akcyi, coby choć lekko wyrażała stosunek tych dwóch postaci do siebie; jakiś smętny powiew spoczynku bezdusznego wieje z tej kompozycji, a duch sieroty tak jest nieszczęśliwy, jak trudno pomyśleć żeby mógł nim być na świecie wtedy nawet, gdy jeszcze obleczony w ziemskie ciało, „drżący stał u płota“. Gdy do tego dodamy brak powietrza i prawdy w chmurnym niebie, suche traktowanie ziemi i drzew, będziemy mieli wyobrażenie jak artyście, który umiał nadać surowe i znaczenia pełne rysy Gerwazemu kłucznikowi z poematu pan Tadeusz, nie udają się powiewne postacie duchów o słodkim wyrazie. P. K. powinien unikać tła pejzażowego w swoich kompozycjach, bo z tej pierwszej nam przedstawionej próby widać że natura niechętnie zwierza mu swe tajemnice.

Z prac p. W. Gersona znajdują się obecnie na wystawie dwie skromne akwarelle; jedna z nich przedstawia dziada podróżnego, pijącego chciwie wodę ze dzbana, podanego mu przez dziewczkę wiejską. Przedmiot ten, tak prosty i zwyczajny, majędnak w przedstawieniu swém tyle wyrazu ludowej naiwności, że patrząc na tę scenę, zdaje nam się jakobyśmy byli jej świadkami w rzeczywistości. Niema tu świetnego kolorytu, wyszukania w układzie, a mimo to uderza nas prawda świeżości pełna, bo przy śmiałym rysunku, jest czystość i wdzięk linii, nadający tym figurom przyjemną jasność. — Druga ma za przedmiot pochod wiejskiego wesela. Dwie druchny na przedzie, z wyrazem naiwnego tryumfu, z właściwą ludowym postaciom rubasnością, ująwszy się w pół idą przodem. Jedna z nich trzyma za rękę małą dziewczynkę, która wysunawszy się naprzód, zdaje się ją naglić do pospiechu. Opodal postępuje z wolna posmutniała panna młoda, niepewna snadź losu przyszłego; przy niej poważny basetlista z młodym skrzypicielem. Wszyscy czysto, świątecznie przybrani, dziewczki w gorsetach w wielkie kwiaty i trzewikach na korkach, a chłopcy w granatowych kapotach. I tu artysta nie szukał efek-

tu, ale za to wszystkie postacie takie swojskie, że gdyby niebo weselsze i cieplejsze opromieniało całą tę weselną gromadkę, niczego by już nie brakowało do wdzięcznej całości.

Obraz p. F. Kostrzewskiego „Nadejście burzy“, w układzie swoim jest zręcznie obmyślony. Wśród gestwiny leśnej stoi fura świeżo naładowana drzewem, a wół zaprzężony do dyszla, korzystając z chwili, układał się i drzemię w jarzmie. Tymczasem wiatr się zrywa i czarna chmura pokazuje się na niebie; zestraszony chłopiec coprędzej wyciąga z krzaków na postronku opierającą się krowę, by spiesznie zaprzężyć i ruszyć w drogę, a chłopiec przy furze stojący, niecierpliwie biczem zachęca do wstania leniwego wołu. Widzimy w tej pracy p. K. więcej studyów jak w kilku poprzednich, mianowicie w kolorycie nieba, które często w jego obrazach bywa nazbyt jednostajne. Tu przeciwnie, dosyć światła i powietrza w obłokach i na dalekim planie; figurom tylko brak jasności i precyzji, osobliwie też chłopcu znajdującemu się na przodzie obrazu. W ogóle poprawność większa byłaby nieodzowną. Dotychczasowe obrazy p. K. zalecają się szczęśliwym pochwytem pewnej sceny w ruchu, wesołym często rzutem światła, ale wykonanie, zawsze jeszcze za pobieżne, po bliższym rozbiórze ujmuje im wartości. Obrachunek robocizny tegoż artysty, oraz dwa studia przedstawiające chłopka z siekierą i starą kobietę wiejską z wiankiem suszonych grzybów w rękę, te same nastroją uwagę.

M U Z Y K A.

Koncertsiści. — Opera. — Instytut muzyczny warszawski.

Gdybyśmy chcieli wszystkie ważniejsze muzykalne fakta, dokonane w ciągu bieżącego roku, czytelnikom naszym przedstawić, zajęłoby to nam wiele miejsca; spora bowiem ich gromadka się zebrała. Cóż więc wybrać, od czego zacząć? Od koncertów? o tych już wszyscy dawno zapomnieli, i słusznie. Osobiste popisy tej licznej zgrai wirtuozów, co jak błędni średniowieczni rycerze włócząc się od miejsca do miejsca, szukają pola na popisanie się z biegiem smyczka albo szybkością swych palców, coraz są rzadsze. Tego rodzaju turnieje, poniżające często samych bohaterów, poniżające częściście sztukę, w której imieniu do walki stawają, przestały być oddawna zajmującymi; owszem, znudziły i zmęczyły publiczność tam nawet, gdzie cierpliwość jej zdawała się być niewyczerpaną. Wprawdzie zdarza się jeszcze spotkać albo słyszeć o ukazaniu się tu i owdzie szukającego przygód rycerza, gdyż *kawalerowie smutnej postaci* nie wyginęli zupełnie. Lecz wierni dewizie, z melancholizmem wejrzeniem, jeżeli zuchwale staną w szrankach, by pokazać się ze swoją zręcznością, to przed opróżnionymi ławkami.

Dziwnieź bo się świat teraz zestarzał! Kto może o sobie powiedzieć iż jest młodym? Czyż nie zdarza nam się widzieć dzieci starych już umysłem? Dawniej dziewczynka do lat piętnastu lalką się bawiła, dziś w ósmym roku życia, a nawet wcześniej jeszcze, do ręki wziąć już jej niechce, zajęta poważnym dobieraniem harmonijnych barw i krojem sukien, w jakie stosownie do ostatniej mody odziać się pragnie. Jakże się więc dziwić, że ogół dojrzałszy publiczności niechce się bawić wirtuozami, owemi muzykalnymi, w jaszkrawe szmatki upstrzonymi lalkami?

Ale nie ma reguły bez wyjątku; zapewne że są, pomiędzy wirtuozami nawet, ludzie wysokiego artystycznego ukształcenia, ludzie szanujący sztukę, publiczność i siebie; ale ci hojnych darów jakimi ich natura obdarzyła nie trwonią, nie poniżają w pyłe poziomych i płaskich celów; kapłaństwo sztuki nie jest dla nich cześćm słowem, lecz jako wyjątki, stanowią niezmiernie małą liczbę.

Odsuńmy tedy z naszych oczu ten niemiły obraz; przenieśmy się na miejsce szczerych usiłowań, uczciwej pracy, szlachetnych dla narodowej sztuki muzycznej dążeń; przenieśmy się do teatru najprzód, a potem choć kilką słowami zawadzimy o *Instytut muzyczny warszawski*.

Opera nasza, zasilona w roku bieżącym młodym tenorzystą, jest na najlepszej drodze. Znane są zasługi na tém polu panny Rivoli, Dobrskiego, Troschla, Müllera i innych artystów; to nas uwalnia od dłuższego zatrzymywania się nad nimi. Grono ich powiększone zostało przybyciem pana Kamińskiego, który na początku zeszłego lata wystąpiwszy w *Hu-*

genotach, umiał sobie pozyskać od razu wziętość, jaka mu się zresztą słusznie należy. Głos tego artysty silny, obszerny i znacznie wyrobiony, obok pewnej wprawy i znajomości sceny, podwaja wartość nabytku jaki dyrekcya teatrów uczyniła, tém więcej, że tak Moniuszko, szanowny twórca Halki, jako i inni młodzi w jego ślady wstępujący kompozytorowie, wybierają się wkrótce ze swemi pracami przed sądem publiczności wystąpić.

Ubiegłych kilka tygodni odznaczyło się niezwykłą opery naszą czynnością; *Rigoletto* i *Trubadur*, najznakomitsze dwa dzieła głównego dzisiaj w Europie kompozytora Verdego, wzbogaciły repertuar, obfitujący w wyborowe rozmaitych mistrzów dzieła. Wspomnieć tu także wypada o *Wiankach*, operze w czterech aktach, zawczasie zgasłego rodaka naszego, Aleksandra Martin, przedstawionej na scenie warszawskiej dnia 25 sierpnia. Wprawdzie niekorzystny na nią wyrok zapadł, egzekucya sądowa tuż zaraz nastąpiła po wyroku; lecz chociaż biedne *Wianki* pogrzebanymi już zostały, przecież młody ich twórca okazał niezaprzeczone dowody kompozytorskiego talentu.

We wtorek ukazała się nowa operetka komiczna francuzka, pod tytułem *Lazarilla*, następnie ma być debiut panny Zawiszanki w operze *Faworyta*, a później jeszcze *Prorok* Meyerbeera. Czytelnicy nasi znajdują w swoim czasie sprawozdanie o nich, jako i o wszystkich ważniejszych objawach życia naszego muzycznego, które pragniemy, w miarę jego rozwoju i postępu, sumiennie chociaż treściwie w niniejszem piśmie uwadze ich przedstawić.

Widnokrąg bowiem nadziei naszych, nadziei wszystkich miłośników muzyki, rozszerza się nadzwyczajnie i przyszłość tej sztuki wchodzi u nas w nową fazę. Jak wielkich owoców możemy się z niej spodziewać, pojmiemy i oceni każdy, kto tylko ma wiarę w chwalebny gorliwość jednych, wytrwałość i pracę drugich, kto ufa nauce i wie jak błogie z niej skutki osiągać się dają. Od czasu zamknięcia konserwatorium, muzyka u nas była raczej zabawką, niż przedmiotem poważniejszych naukowych studyów; młodzież pragnąca się poświęcić muzycznemu zawodowi, nie posiadając ogniska przy którym mogłaby artystycznego ducha ogrzać i wszechstronnie go wykształcić, zmuszoną była albo poprzestać na małym, albo za granicami kraju szukać dla siebie nauki, przez obcych i dla obcych wykładanej. Otóż dzisiaj rzecz się zmieniła; starania Apolliniego Kąskiego najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały. W roku przyszłym, w miesiącu maju, *Instytut Muzyczny* na wielką skalę w Warszawie otwartym zostanie, a kierunek nad nim główny, powierzony w ręce człowieka tak niezamordowaną i wytrwałą wolą w przeprowadzaniu raz powziętego zamiaru obdarzonego, wzbudza wiarę w najpomyślniejszą i najświetniejszą przyszłość sztuki krajowej.

Zapewne nieraz jeszcze wypadnie nam mówić o mającym się założyć *Instytucie*, bliższe więc o nim szczegóły na później odkładamy.

PRZEGLĄD LITERATURY BIEŻĄCEJ.

Polska w pieśni. Ustęp z księgi pierwszej *Lech*, przez Deotymę. — Dwóch rodzonych braci, powieść przez Bibianę Moraczewską.

Poemat Deotymy ma przedstawić, w zasadniczych jej żywiolach, Polskę szlachecką, której Lech jest wyobrazicielem. W nadaniu charakteru tej postaci, autorka rozmija się z historią, a przynajmniej z badaniami, które dotąd wskazywały na Lecha i Lechów, jako na plemię przychodniów, co przyszli, aby wziąć górę nad spokojnymi mieszkańcami powiśla, nadać im prawa i początek form politycznego bytu. Według poetycznej fikcyi Deotymy, Lech jest to syn tej ziemi, która później nazwana została Polską, wyższy nad drugich poczuciem poniżenia, jakiego podówczas doznawali ziemkowie. On pierwszy wśród swoich zabrał nad niem, zapragnął swobód dla siebie i dla swego ludu; ale lud, znękany i upadły na duchu, chęci jego i boleści pojąć nie był w stanie. Zaledwie dwunastu mężów zdołał wtajemniczyć w swe uczucia i zamiary, a z nimi udał się w szeroki świat, aby się oświecić. Lecz świat niczego ich nauczyć nie mógł. Po długiej podróży wracają smutni, ale silni, wzmocnieni trudem i przełamaniami niebezpieczeństw. Lech

zropancy wzywa domowe bogi, aby mu dały radę jak ma postąpić dla wyzwolenia ludu i uczynienia zeń społeczności, coby była wzorem dla drugich. Starzy bogowie skłaniają się do życzeń Lecha ale środki przez nich podawane nie odpowiadają temu ideałowi państwa, jaki leży w przeczuciu Lecha; więc kiedy już miał uleść ostatecznemu zwątpieniu, wtedy odzywa się do niego *Bóg przyszłości*. On jeden w nauce swój miał środki, jakich żądał Lech dla dościsła do celu. Wzmocniony i oświecony głosem Boga chrześcijańskiego, który we własnym posłyszał sercu, Lech przemówił do ludu i dopiero został przezeń rozumianym. Lud dowiedział się od niego, że jeśli chce żyć i spełnić misję swą jako naród, winien działać w imię *miłości i poświęcenia*; a za środki życia politycznego, Lech podaje mu te wszystkie zasady główne, które objawiły się w życiu historycznym Polski, jako to: rozdzielenie masy ludu na rycerską i rolną, sejm coby stanowił prawa, wolny wybór zwierzchnika rządu, jednomyślność w przyjmowaniu przedmiotów obrady sejmowej, nareszcie unikanie zaborczych kroków, a natomiast zdobycze na drodze pokoju i wzajemnej sympatii. Lud, ożywiony słowem Lecha, odzyskuje swobody, okupione życiem swego przywódcy. Ale śmierć Lecha nie była straconą: lud miał już w sobie żywioły przyszłości, które mógł rozwijać, aby zająć tam, gdzie mu wskazywał ojciec narodu.

Myśl tę, wyczerpiętą z wewnętrznego znaczenia dziejów naszych, autorka rozwija nie w eposie, ale w pojedynczych lirycznych ustępach, odznaczających się poetycznym wysłowieniem, pośród których pierwszy mianowicie ustęp, zawierający porównanie ludzkości do morza, po którym burza zaborów pędzi, nie dotykając cichych mieszkańców dna, — jest najbardziej malowniczym. Całe w ogóle obrobienie (lubo nie wszędzie), pod względem artystycznym silne i szczęśliwe, mieści w sobie nierównie więcej uczucia poetycznego, jak dotychczasowe prace autorki; ale pragnęlibyśmy z tem wszystkiem, w takich mianowicie przedmiotach, więcej ciała i krwi, więcej plastyki, niż abstrakcyi. Historia miałaby tu poniekąd prawo zrobić Deotymie zarzut, za dowolne nakreślenie postaci Lecha, za przedstawienie w dodatnim charakterze niektórych zasad rządzących w Polsce, mianowicie rozdziału na klasy, z którego powstał ucisk kmiecia, *liberum veto*, które stało się ziarnem bezrządu. Ale rzeczy te, ulegając więcej kontroli praktycznej, w teorii wcale inaczej wyglądać mogą, a tem samem w poetycznym rozprawieniu idei innego są zupełnie znaczenia.

Dziełem kobiety, zarówno jak poprzedzający poemat, jest powieść p. t. *Dwaj bracia rodzeni*. Powieść ta ma wyraźnie charakter tendencyjny, rozmyślnie bowiem skierowaną jest do wytknięcia skutków próżności, próżniactwa, złego wychowania i upodobań w obczyźnie, a nawzajem wysoko podnosi życie ugruntowane na zasadach ojczyźniej tradycyi i poczuciu społecznych potrzeb. Aby uwyraźnić swój cel, autorka wprowadza głównie dwie rodziny i dwa pokolenia. Dwie rodziny, dla kontrastu zasad rozwijających się

w życiu i ich rezultatów; dwa pokolenia, dla wykazania jakimi stają się dzieci w tychże zasadach wychowane. Główną postacią obrazu ciemnego jest kobieta, która jako zadanie życia położyła sobie: *świecić i bawić się*. Szczegóły w jakich rozwija się to zadanie przejmują dreszczem i zgrozą, tém straszniejszą, że kreślone z najsumienniejszą prawdą. Niema tam dramatycznych wypadków i scen, sztylet i trucizna żadnej nie grają roli, ale jest ten cichy, zwyczajny przebieg życia, które zdeptało najświętsze obowiązki, doprowadziło do upadku moralnego i materialnego rodziny całą, dzieci niedołęzne z trucizną w duszy pozostawiło w poniewierce graniczącej z hańbą, — słowem przebieg taki, jaki powtarza się zbyt, niestety, widocznie w oczach naszych, wśród społeczeństwa w którym żyjemy. Jakże obok tego obrazu jasno świeci postać prawdziwego obywatela, którego całe życie jest jednym ciągiem usiłowań w spełnieniu zacnego posłannictwa: nietylko dzieci jego wstają na filary sprawy krajowej, ale cała okolica, zachęcona przykładem, skupia się około jego myśli i modli się przed jednym ołtarzem, za jedno.

Zaprawdę, nie będziemy zarzucać szanownej autorce braku artystyczności w obrobieniu obranego przedmiotu, bo tu sama prawda stała się artystem, dzieło jej nie jest to obraz świetnego kolorytu, ale raczej fotografia społeczna. Język autorki spokojny, powiemy nawet bezbarwny, prowadzenie rzeczy bez najmniejszego kunsztu i zapału; ale czuć że tę zimną rękę kierowało serce namiętnie bijące dla sprawy ogółu, a kierunek ten, pomimo nieobecności zwykłych artystycznych środków, mniej wprawdzie gwałtowne, ale dłuższe i głębsze, bo z prawdy rzeczywistej czerpane, wywiera na czytającym wrażenie. Książka ta jest prawdziwą dla powszechności naszej przysługą, gdyż maluje ją wiernie, — nie dla efektu, ale dla nauki.



Panu N. w Warszawie. Za sympatją wyrażoną w nadesłanym wierszyku dziękujemy, drukować go jednak nie możemy, gdyż zakrawa na panegiryk dla „Tygodnika Ilustrowanego,” którego zasługi są jeszcze problematem nierozwiązanym.

Pani E. w Warszawie. Rozmiar nadesłanej powieści przechodzi zakres naszego pisma.

Panu Leonowi M. w Warszawie. Komedye, zwłaszcza w tym rodzaju jak nadesłana, nie wchodzi w zakres naszego pisma. Rebusy nie zadane podług prawideł.

Panu W. M. w Wilnie. Sprawozdania teatralne, nie na-

Aleksandrowicza B. Gorzelnictwo u nas w stosunku do innych przemysłów, kop. 37½. — *Jourdiera A. Pijawka, jej hodowanie etc.* kop. 45. — *Steczkowskiego I. K. Geometria analityczna, wraz z liniami i powierzchniami krzywymi drugiego rzędu.* rsr. 2 kop. 40. — *Aparat do polepszenia karmy bydła rogatego i trzody chlewniej,* kop. 10. — *Malowniczo-opisowa historia naturalna dla dzieci.* rsr. 1.

Morin. Przewodnik praktyczny dla inżynierów, mechaników, budowniczych i artylerzystów. Tłum. Bronisł. Marczewskiego. Cena rsr. 4.

Z dniem dzisiejszym wyszedł pierwszy poszyt *Encyklopedyi powszechnej*, wydania S. Orgelbranda, zawierający artykuły z litery A, od początku aż do wyrazu Adecyacja, składający się z siedmiu arkuszy in 8vo majori, drukiem ścisłym. Cena zeszytu w królestwie polskiem k. 35; za granicami królestwa k. 37½; na stacyach pocztowych k. 40. Z góry żadna opłata nie jest wymagalną. Plan całego dzieła oraz bliższe szczegóły są objęte obszernym prospektem, który na żądanie w księgarni wydawcy i innych udzielanym bywa.

SKŁAD GŁÓWNY ZEGARKÓW

z fabryki

Czapka i Spółki w Genewie,

Nadwornego zegarmistrza J. C. W. Księcia Napoleona, w Warszawie, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 w domu Wgo Grodzickiego.

zbyt obszerne, nie zapuszczające się w drobnostkowe ocenianie gry artystów, od czasu do czasu mogą być zamieszczane.

Panu K. Z. w Krakowie. Obrazki z charakterem wyłącznie miejscowym, ogółu czytelników zająć nie mogą, zostają więc do jego dyspozycji.

Pannie R. w Wilnie. Poezye zamieszczamy chętnie, lecz tylko doborowe.

Panu X. Y. Z. w Radomiu. Humorystka nadto trywialna, na wydrukowanie nadesłanego artykułu pod tytułem *Ambaje* nie dozwala.

Panu K. w Szkalmierzu. Za odpowiedź posłuży panu przyszły numer naszego pisma.

TRZEBNICA.

O półtrzęci mil od Wrocławia, w pięknej okolicy, wśród wzgórz nad źródłami Sieczki, leży miasteczko *Trzebnica*, którego nazwa pochodzi widocznie od *wytrzebionych* dokoła lasów. Miejsce to słynie z bogatego i starożytnego klasztoru cysterek, który założony roku 1203 przez św. Jadwigę, patronkę Szląska, żonę Henryka Brodatego, księcia wrocławskiego, istniał tu przez lat przeszło 600, aż do roku 1810.

Przez hojne dary książąt i osób prywatnych, klasztor rósł w świetność i bogactwo aż do roku 1460, w którym napadnięty przez Hussytów, został spalony i ograbiony. Dźwignawszy się z tego ciosu, nowych klęsk doznał podczas wojny trzydziestoletniej; zakonnice puciekowały do Polski. Przełożone jego posiadały godność księżęcą i zasiadały w gronie stanów szląskich, a zarządzając obszernymi dobrami, zbawienny wpływ wywarły na pomyślność kraju.

Jeszcze roku 1803 odbył się tu z wielką uroczystością obchód sześciowiekowego istnienia klasztoru; lecz wkrótce potem nastąpiła sekularyzacja jego; archiwum klasztorne przeniesione zostało do Wrocławia i mniszki rozproszone po świecie. Ostatnia z nich umarła lat temu parę w Trzebnicy, w pożyczonym mieszkaniu; ogromny zaś gmach klasztorny roku 1810 sprzedano niejakiemu p. Oelsner, który go obrócił na fabrykę sukna. W roku 1857 rząd pruski odkupił zeszpecone i zniszczone technieniem spekulacji zabudowania, ażeby je obrócić... *na dom poprawy*. Tak to w naszym wieku rękodziel i więzień wzorowych przemija świetność i sława tyłowiekowa! Dziś oprowadzający po tych murach sługa kościelny, wskazując miejsce gdzie był refektarz, biblioteka itp., nie przepomina i o machinie parowej, przetykając nielitościwie śliczne podania o św. Jadwidze, wełnianą przędzą wzbogaconego fabrykanta Niemca.

Klasztorny niegdyś kościół, zbudowany pierwotnie w stylu gotyckim, skutkiem kilkakrotnych pożarów zmienił się do tyła, że niektóre tylko części zachowały dawniejszy swój charakter. Wnętrze jego zdobią piękne obrazy Willmanna, z pomiędzy których, oprócz scen z życia patronki kraju, zasługują na wspomnienie św. Sebastyan i św. Bartłomiej. Chór wystawiony jest w półkole, w smaku bizantyjskim, a pod nim kamienne schody prowadzą do krypty, ze źródłem św. Jadwigi do dziś dnia tryskającym, którego wodę pobożna wiara uważa za skuteczną w wielu cierpieniach i dlatego w dalekie roznosi je strony.

WYKAZ

wyrobów malarskich i t. p. materiałów,

które są do nabycia po najtańszych cenach tak w fabryce przy ulicy Bonifaterskiej nr. 2163, jak i w głównym składzie farb i lakierów J. A. Krausse przy ulicy Miodowej nr. 484, nowy 8, wprost Rządu Gubernialnego, a mianowicie:

Lakiery spirytusowe (patentowane). — Lakiery kopalowe w różnych kolorach. — Lakiery oryginalne angielskie do powozów. — Werniksy do obrazów i brązów.

Farby olejne prędko schnące, we wszystkich kolorach i w najlepszych gatunkach, gotowe wprost do użycia.

Pokosty i farby drukarskie. — Farby miniaturowe w tabliczkach, w ozdobnych pudełkach. — Tusze francuzkie i angielskie.

Farby dwakroć szlamowane zagraniczne, wyłącznie do robót portretowych, przyrządzone farby olejne w rurkach metalowych i płótna olejne drezdeńskie i krajowe wszelkich rozmiarów. — Penzle w najrozmaitszych gatunkach. — Palety, flizy, szablony, stalugi i t. p. utensylia malarskie. — Wszelkie obstarunki przyjmuje tak pomieniony skład główny, jak i sama fabryka, i takowe z wszelką akuracnością, starannością i pośpiechem załatwia. — Handlującym ustępuje się przyzwolony rabat. — Przepisy specjalne, objaśniające sposoby użycia niektórych wyrobów, i cenniki wszelkich przedmiotów tu wymionych, udzielają się bezpłatnie.



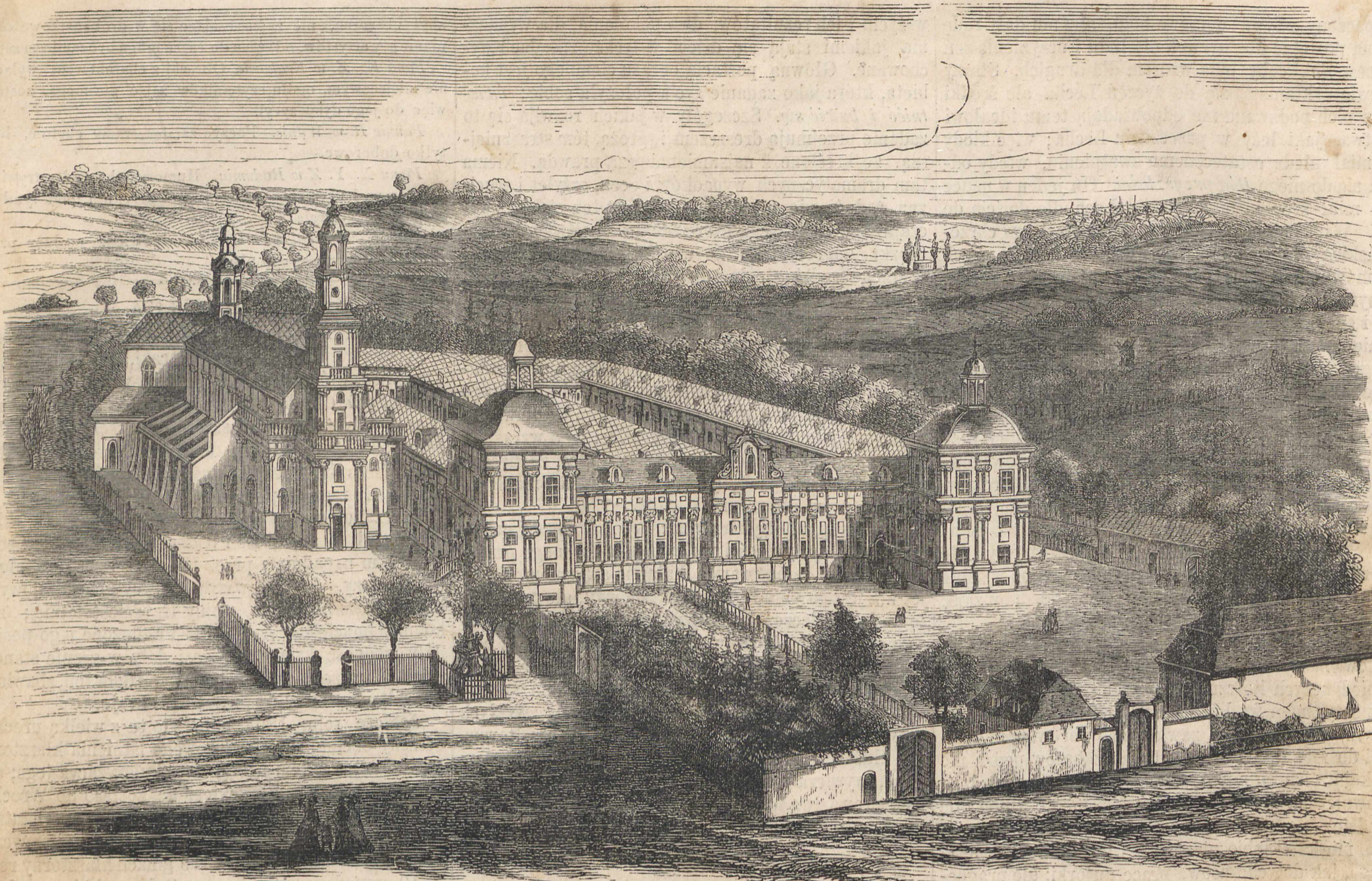
KSIEGARNIA

GUSTAWA SENNEWALDA

przy ulicy Miodowej Nr. 2,

otrzymała następujące nowości polskie:

Pauliny Wilkońskiej Pisma tom. 3, *Fata Morgana* 2 tomy rsr. 1 kop. 72½. — *Księcia Krzysztofa Radziwiłła*, hetmana polnego wielkiego księstwa litewskiego, *sprawy wojenne i polityczne* 1621—1632 I tom in 8o rsr. 6. — *Kraszewskiego J. I. Stare dzieje*, komedia w 4 aktach. Poznań. rsr. 1. —



Przed wielkim ołtarzem wznosi się grobowiec marmurowy Henryka Brodatego i przyjaciela jego i towarzysza broni, wielkiego mistrza krzyżackiego Konrada de Feuchtwangen; dawna zaś kaplica św. Piotra i Pawła mieści w sobie zwłoki Przemysława, najstarszego syna Konrada Mazowieckiego; Konrada Kędzierzawego, syna Henryka Brodatego i św. Jadwigi; księżny holsztyńsko - oldenburgskiej, ostatniej odrośli szczepu Piastowego, i innych.

Opis grobu samej św. Jadwigi i jej relikwii; wyciemy z listu hr. Aleksandra Przezdzieckiego, pisanego w październiku r. z. z Trzebnicy do „Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych“:

„Grób książęcy wywyższony jest na środku jednej z naw kościelnych. Około sarkofagu z marmurów białych i czarnych, srebrem ozdobionego, goreją lampy, a częstokroć tłoczy się około niego nie tylko lud okoliczny, ale i liczni pielgrzymi z pod Poznania i Krakowa; bo tą księżną jest święta Jadwiga, patronka kraju! Służebnica Chrystusa, matka ubogich, straciwszy syna w bitwie z Tatarami, ukożane zwłoki odszukała z zakrwawionem sercem, i na wieczny spoczynek złożyła; a sama, jako wdowa, w tym klasztorze trzebnickim przy mężu, przy córce Gertrudzie, zakonnicy i drugiej z rzędu przełożonej tutejszej, spocząć chciała. Nie długo jednak pozostały jej zwłoki pod ziemią: na początku drugiej połowy XIII wieku kanonizacja św. Jadwigi dała jedną patronkę więcej Polsce i ościennym krajom.

„Zewnętrzna budowa części kościoła od ogrodu, okazuje jeszcze zaokrąglenia romańskiego stylu; tuż obok pozostały ślady gotyckich, ostrych łuków i odrzwi z tablicą wotywną, przedstawiającą w płaskorzeźbie kamienną N. Panne z Dzieciątkiem Jezus na ręku, w pośród dwóch kłęzących aniołów. Ale to wszystko oprawione jest w przebudowane w XVII wieku długie, proste linie murów, a ozdobione żelaznymi kratami w fioresach i błyszczącym nowością złotem.

„Relikwie św. Jadwigi, której imię jedno dotąd w Trzebnicy panuje, zamknięte są w marmurowym grobowcu; czaszki tylko część wierzchnia zamknięta jest w bogatym z pozłacanego srebra relikwiarzu, w kształcie ogromnego kielicha, przykrytego czapką książęcą z aksamitu żółtego, obszytą perłami. Szklanka z prostego szkła, wprawiona pomiędzy dwie dru-

BYŁY KLASZTOR CYSTERSEK. W TRZEBNICY.

gie pstrami malowaniami oszpecone, długo służyła mniszkom w dni wielkich uroczystości kościelnych; dziś wyjmują ją tylko dla okazania podróżnym, jeżeli który dopytuje się o pamiątki po świętej patronce tego miejsca i krain polskich.“

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w prospekcie:
Tylko zasługa nada prawo do nagrody, jaką Tygodnik Ilustrowany pragnie otrzymać od czytającej publiczności.

SZACHY.

Wprowadzając do naszego Tygodnika zadania szachowe, winniśmy wytłumaczyć się ze sposobu znaczenia jakiego w nich używać zamierzamy. Każdy rząd szachownicy, idąc od dołu ku górze, oznaczamy kolejno jedną z pierwszych ósmiu liter alfabetu; rzędy zaś od lewej ku prawej numera-

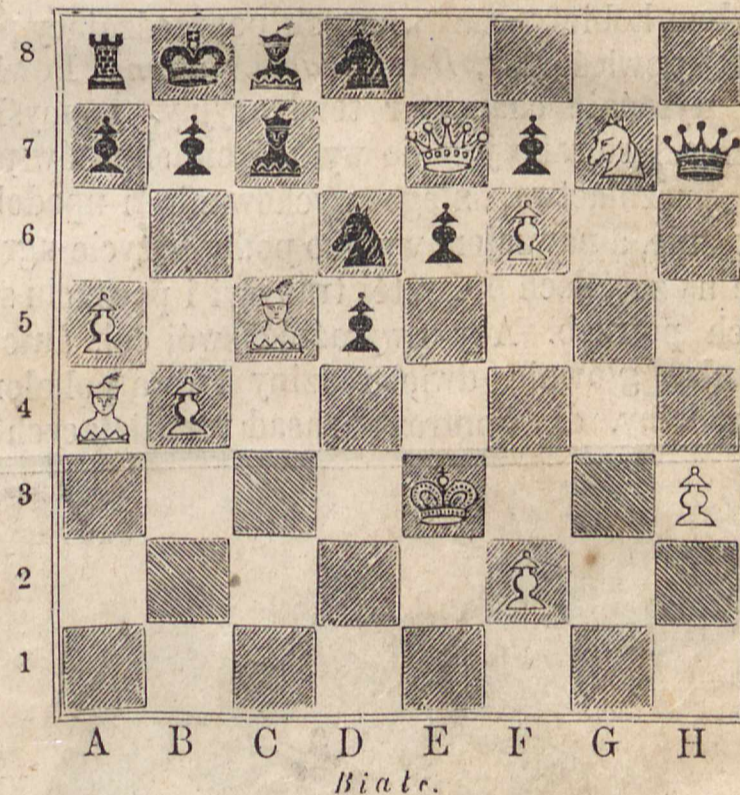
mi porządkowemi 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. Tym sposobem np. C7 znaczyć będzie siódme pole rzędu C; F4 czwarte pole rzędu F, i t. d. Na oznaczenie szachu używać będziemy krzyżyka (†); inne wyrazy, jak: *bierze, roszuje, dama, mat*, wypisywane będą literami.

ZADANIE I.

Jest to końcówka sławnego szachisty, Infantczyka Kisieryckiego.

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadań szachowych zamieszczonych w prospekcie.

Mat za czwartym posunięciem.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-------------------------|----------------------|
| 1) D 3 — D 5 †. | 1) C 6 — B 6. |
| 2) D 5 — B 7 bierze †. | 2) Król bierze damę. |
| 3) D 7 — D 8 (konik) †. | 3) B 7 — B 6. |
| 4) F 4 — D 5 † i mat. | |

Mat za piątym posunięciem.

Białe.

Czarne.

- | | |
|------------------------|-----------------------|
| 1) E 5 — D 7 †. | 1) Król bierze piona. |
| 2) G 3 — B 8 †. | 2) B 7 — A 6. |
| 3) B 8 — B 6 †. | 3) C 6 — B 6 bierze. |
| 4) D 7 — C 5 bierze †. | 4) A 6 — A 5. |
| 5) B 2 — B 4 † i mat. | |